

Humanistyka z odzysku*

Stephen Greenblatt jest profesorem humanistyki uniwersytetu Harvarda oraz autorem filozoficznej *Woli w świecie* (2004) i redaktorem antologii literatury anglojęzycznej Norton. Omawiana pozycja jest wynikiem jego pobytu w berlińskim Wissenschaftskolleg. O co w niej chodzi? Zapowiedzi na okładce są jak należy ogólne i uniwersalne. Zdaniem ich anonimowego autora *Kultura w ruchu* to scenariusz i model (kto by się przejmował różnicą między scenariuszem, który ma coś stworzyć, a przynajmniej symulować, a modelem, który ma coś już stworzonego wyjaśnić). Czego scenariusz i czego model? Prawidłowości, regularności, mechanizmów, jakie dałoby się odkryć wśród znaczeń, między rusztowaniami sensów, jakie ludzkość wytwarza. Różnorakie dyscypliny, reprezentowane w omawianym tomie, łączy jedna wspólna cecha — prowadzone przez ich przedstawicieli badania pokazują, że kultury rzadko się zatrzymują na regionalnych przystankach albo długoletnich postojach — a przeważnie odznaczają się radykalną, znaczną, bezgraniczną ruchliwością. Poza tym ta ruchliwość to nie jest bynajmniej coś nowego, właściwego naszym nasyconym technologiami informacyjno-komunikacyjnymi czasom, lecz towarzyszyła rozwojowi ludzkich społeczeństw i ich kultur od zawsze. Akademicki podział pracy dostaje po badawczych uszach — autorzy mają do swojego środowiska pretensje o to, że w większości nauk panuje kult trwałych korzeni oraz odrębnych, czystych całości. Trochę to wygląda na ustawianie chłopca do bicia, bo już od czasów badania dokumentów osobistych polskich chłopów emigrujących do Ameryki wiadomo, że nawet bohaterowie W. Reymonta są ruchliwi, przedsiębiorczy oraz twórczo dostosowują swoje pielęgnowanie kultury do Chicago raczej niż do Szczebrzeszyna. Ale najlepsze dopiero nadchodzi w połowie notki na okładce. Otóż autorzy zapowiadają, że będą się starali zrozumieć twórczą i kształtującą kultury moc kolonizacji, wygnania, emigracji, podróżowania, kontaminacji oraz niespodziewanych wydarzeń losowych. Nie wydaje mi się, by byli aż tak bardzo odkrywcami nowego ładu, na który należy dopiero wysadzić desant multidyscyplinarnych badaczy, niczym *marines* podbijających świat, by był przyjaźniejszy dla rynków oraz demokracji.

Jakie mamy przykłady tego desantu i co one wnoszą do naszego rozumienia prawidłowości rządzących tworzeniem i upowszechnianiem znaczeń, sensów, kryteriów rozumienia tego, co nas otacza w wielkich nurtach rwących wielopostaciowych interakcji oraz komunikacji splecionych z sobą w historycznym uścisku społeczeństw, jednostek, kultur, znaczeń? Nietrudno zarzucać autorom antologii arbitralność, ale chodzi o to, czy arbitralne wybory są najlepsze, jakie były dostępne; czy takimi kartami, jakimi grają badacze z omawianego tomu, nie dałoby się „ugrać” czegoś więcej, poznawczego „szlemika”, że

* *Cultural Mobility. A Manifesto*, red. S. Greenblatt, we współpracy z I. Zupanov, R. Meyer-Kalkus, H. Paul, P. Nyiri, F. Pannewick, Cambridge-New York 2010.

tak powiem, a nie „trzech bez atu”? Przejrzyjmy zatem najpierw deklaracje Greenblatta, a potem zbadajmy wkład wniesiony przez autorów poszczególnych rekonstrukcji teoretycznych różnych szczegółowych przypadków historycznej zmienności kultur do naszego rozumienia ukrytych mechanizmów rządzących przemianami znaczeń, do naszego pojmowania reguł transformacji sensu przypisywanego naszym wytworom i działaniom.

Ogólny wstęp Greenblatta zawiera wezwanie, by uwzględnić ruchliwość, opierając się biurokratycznej naturze instytucji akademickich, które preferują poszufladkowane dyscypliny naukowe i zniechęcają do interdyscyplinarnej współpracy (jest ona konieczna, jeśli się chce na przykład zrozumieć, co myślą więźniowie Guantanamo, którzy co prawda walczyli za sprawę islamu, ale wychowali się jako obywatele zachodnich demokracji rynkowych). Najogólniej, Greenblatt wysuwa dwa argumenty mające przemawiać za postulatem przetasowania reguł współpracy interdyscyplinarnej w dziedzinie humanistyki. Pierwszy to argument historyczny: kultury zawsze rozwijały się na drodze wymiany i współprzenikania. Drugi jest polityczny: rozpoznanie tego ruchliwego stanu rzeczy może nas ochronić przed ekscesami nadmiernego utożsamiania się z *Blut und Boden*.

Oto argument pierwszy: jak zauważa cytowany przez Greenblatta Walter Burkert, Grecy zaadaptowali fenicki alfabet do greckiej fonetyki około ósmego wieku przed naszą erą, co ułatwiło im asymilację inspiracji płynących ze wschodu — z terenu dzisiejszej Persji, Indii, Chin, przyczyniając się do wielu innowacji oraz twórczych inspiracji i zapożyczeń — a więc do przyspieszonej zmienności oraz ruchliwości — w myśleniu filozoficzno-poznawczym, w religii, w sztuce, zwłaszcza w literaturze. Ten wpływ starszych i bardziej rozwiniętych szkół myślenia oraz systemów kulturalnych ze Wschodu został naturalnie już wcześniej zauważony przez badaczy, których Greenblatt dyskretnie pomija milczeniem. Przede wszystkim zatem zauważony został przez Jacka Goody'ego (sir Jacka Goody'ego, który jest co prawda brytyjskim antropologiem, ale od 1980 roku jest też zagranicznym członkiem honorowym American Academy of Arts and Sciences, co można było zauważyć także z Bostonu). Goody postawił ostro sprawę zafałszowania historii w ogóle, a historii kultury w szczególności, przez milczące przyjmowanie założeń eurocentrycznych, które wiodą do błędnego wniosku, że wszystko, co nas napawa dumą, w dziejach ludzkości jest dziełem Europejczyków. Europejczyków w Europie plus europejskich emigrantów, czyli „Zachodu” — że to my wymyśliliśmy demokrację i wyścigi konne, kapitalizm i gospodarkę rynkową, indywidualizm i miłość. Niektóre z tez Goody'ego zostały już potwierdzone szczegółowymi badaniami — na przykład coraz więcej wiemy o transferze wiedzy oraz technologii z Persji, Indii oraz Chin do Włoch w okresie poprzedzającym Renesans — a to za pośrednictwem Bizancjum, którego cesarze liczyli, że w zamian za ten wysoce wartościowy eksport kultury otrzymają pomoc wojskową, która im pozwoli odeprzeć Turków. Pomocy nie dostali, Genuelńczycy i Wenecjanie złupili Bizancjum dokładniej niż później Turcy (niechlubny ten wyczyn do dziś przypominają weneckie lwy), ale transfer nie pozostał bez wpływu na sztuki wizualne i architekturę włoskiego Odrodzenia (bez kopuły Hagia Sofia nie byłoby kopuły w kościele św. Piotra w środku Rzymu, bez zwycięstwa malarzy ikon w Bizancjum nad przeciwnikami przedstawiania żywych istot „jak żywych” nie byłoby malarstwa i badań nad perspektywą). Nadający dzisiaj ton krytycy sztuki oraz jej historycy pisują już takie prace, jak — to przykład dzieła Hansa Beltinga — *Florencja a Bagdad: sztuka Renesansu a nauka arabska*. Wydano Beltinga w 2011 roku w Harvardzie (Belknap, czyli Harvard University Press), ale teksty tego typu poja-

wiały się już znacznie częściej (Goody wyszedł w 2006 roku, ale nawet już przedtem pisał o Wschodzie na Zachodzie, czyli o ukrytych inspiracjach wschodnich w tym, co Zachód przypisywał swojej oryginalnej twórczości kulturalnej). Nie jest to zresztą jedyna szkoła w szeroko pojętej humanistyce i naukach społecznych, która poświęca wiele uwagi zagadnieniom zmiany i wymiany cywilizacyjno-kulturowej. S.N. Eisenstadt, H.H. Arnason oraz wielu innych badaczy zajmowało się sprawami tzw. przełomowych epok w dziejach ludzkości, kiedy to tory rozwoju całych społeczeństw oraz ich zbiorów, zwanych czasem cywilizacjami, przechodziły przez fazy przyspieszonych zmian oraz wyborów (tzw. *axial ages*), nie mówiąc już o historykach tego typu, co F. Braudel czy I. Wallerstein, którzy się zajmowali długimi cyklami albo centrami, peryferiami oraz marginesami. Los, przypadek, kontyngencja — jednym słowem historycy od dawna już skutecznie podważali ukryte założenia o predestynacji, o przeznaczeniu kultury jakiejś grupy pchającym tę grupę (klasę, rasę, naród, cywilizację, religię) ku dominacji i rozwojowi. Argument historyczny jest zatem słuszny, ale nie jest on własnym argumentem Greenblatta. Inni wysuwali go wcześniej i wysuwają nadal, podając trafniejsze przykłady ruchliwości oraz zapożyczeń.

Drugi argument jest polityczny, a mianowicie Greenblatt pisze, że ponieważ biurokracje zawodowe decydują o rozwoju wiedzy naukowej, a ich mocne zakorzenienie w administracyjno-geograficznych podziałach sprzyja milczącym założeniom o trwałości kultur państwowo-narodowych, więc też korzystają ideologicznie z „brzydkiego nasilania się etnocentryzmu, rasizmu i nacjonalizmu, które są wytworami współczesnego złudzenia, że kultury są osiadłe, rodzime, a tylko od czasu do czasu wychylają się bez specjalnego przekonania ku marginesom. Rzeczywistość kultur, tak w przeszłości jak i obecnie, ma więcej wspólnego z nomadami niż tubylcami” (Greenblatt, 2010, 6).

Nie bardzo rozumiem, dlaczego uważa, że właśnie teraz mamy do czynienia z nasilającym się rasizmem — moim zdaniem najgorzej było do momentu zniesienia segregacji na południu USA przez Lyndona B. Johnsona oraz do upadku opartego na dyktaturze burckich rasistów apartheidu w Republice Południowej Afryki. Nacjonalizm też nie wydaje mi się specjalnie rozbujany w porównaniu z — powiedzmy — rokiem 1913 (przegłosowanie kredytów wojennych przez socjaldemokratycznych posłów w europejskich parlamentach) albo 1914 (entuzjastyczne powitanie wojny). Etnocentryzm? Unia Europejska trzeszczy w szwach, ale włącza słabiej rozwinięte gospodarczo kraje i łoży na ich awans cywilizacyjny, a populisci są co prawda widocznie obecni (M. Le Pen, córka, we Francji, G. Wilders w Holandii, Flamandzki Blok w Belgii), ale nie doprowadzili ani do usunięcia Grecji ze strefy euro, ani do powrotu do walut państw narodowych. Nie wspominam już o tym, że takiego rozkwitu antysemityzmu jak pod panowaniem Hitlera w Niemczech nie ma i raczej nie będzie. Nie widzę więc powodu, by albo z punktu widzenia USA, albo UE narzekać na brzydkie nasilanie się tego zjawiska akurat w roku 2013. Inna sprawa, że ideologie polityczne już starają się zagospodarować populizm, zaostrzając politykę emigracyjną w reakcji na takie ruchy nacjonalistyczne, jak Flamandzki Blok, który otwarcie głosi, że „własny lud ma pierwszeństwo” (*eigen Volk eerst*). Ale to tylko koniunkturalne reakcje na polityczny marketing — przynajmniej taką mam nadzieję.

Greenblatt, jako główny redaktor omawianego tomu, zamyka książkę swoim manifestem badań nad ruchliwością (w bibliografii cytuje Johna Urry’ego, profesora socjologii z uniwersytetu w Lancaster, jako autora *Mobilities* z 2007 roku, więc Brytyjczyków jednak czytuje). Po pierwsze, studia nad ruchliwością powinny całkiem dosłownie ba-

dać przenoszenie się ludzi oraz idei w czasie i przestrzeni. Dopiero jak się odtworzy tę ruchliwość, powiada Greenblatt, będzie można się zastanowić nad tym, co jest ruchem metaforycznym, a mianowicie między „centrum” a „peryferiami”, między wiarą a sceptycyzmem, chaosem a porządkiem, między tym, co jest „wewnętrzne”, a tym, co pozostaje „na zewnątrz”. Każdy z tych wymiarów ruchliwości metaforycznej, tak kończy pierwszy punkt manifestu, będzie się opierał na jakimś rodzaju ruchliwości faktycznej (np. jeździe samochodem, transmisji telewizyjnej, locie samolotem, tłumaczeniu *Cierpień młodego Wertera* albo *Pisma Świętego*). Po drugie, proponuje poświęcić uwagę pewnej konwencji, w myśl której niektóre rodzaje ruchliwości ludzi uznajemy za poważne i regulujemy prawnie — emigracje, sezonowe „saksy”, przemyt, podczas gdy inne traktujemy jako niepoważne, a przynajmniej przejściowe i niegroźne dla ładu i prawie ich nie zauważamy (turystyka, festiwale teatralne czy filmowe, studia zagraniczne). Po trzecie, chce, abyśmy starannie analizowali „strefy kontaktu”, w których się odbywa wymiana i mieszanie dóbr kultury, a zwłaszcza role mobilizatorów takiej wymiany i zmiany — a więc agentów, pośredników, tłumaczy, przedstawicieli wraz z wyłaniającymi się dla nich instytucjami. Na razie banalnie, ale poprawnie i własnymi słowami. Po czwarte... tu jest gorzej. Już mniej samodzielnie zauważa Greenblatt, że badania nad ruchliwością powinny w nowatorski sposób zdawać sprawę z napięcia między aktywnym podmiotem dziejów a ograniczeniami strukturalnymi nałożonymi na jego poczynania. Czyli trzeba na nowo przemyśleć, na ile jednostki twórczo realizują swoje cele, a na ile szamoczą się w sieci kontekstów, tradycji, pól siłowych i innych uwarunkowań. Myślę, że powtarza tu socjologów, których nie cytuję, a być może nawet nie zna, choć powiedzieli sporo na ten temat i to dużo wcześniej. Na przykład Margaret Archer, nie mówiąc już o D. Harveyu, który się pojawia raz w jednym z rozdziałów poświęconych analizom poszczególnych przypadków, u P. Nyiri, ale w cytatach Greenblatta nie występuje. Ogólnie rzecz biorąc, i koncepcja „elastycznej akumulacji” Harveya, i wiele innych pomysłów o marksizującym wydzwisku podyktowałyby mu ten postulat — należałoby więc to jakoś odnotować, choćby po to, by pokazać, że wnosi się coś oryginalnego. Po piąte, badania nad ruchliwością powinny wyjaśnić poczucie zakorzenienia. To ono jest dziwne i wymaga wyjaśnień, nie ruchliwość i zmiana. Zgoda, ale to trochę za mało. Czytając powieści Thomasa Pynchona albo Davida Fostera Wallace’a, mam poczucie zakorzenienia w najnowszej historii Stanów Zjednoczonych — ale mam je także czytając powieści Jhumpy Lahiri albo oglądając nocne widowiska wyświetlane na ścianach kamienic przez Krzysztofa Wodiczkę, albo oglądając jego prototyp pojazdu dla bezdomnych zrobiony z wózka na zakupy w supersamie. Zakorzenienie jest fikcją, ale tworzymy ją tylko po części świadomie — Z. Herbert wiedział, co mówi, gdy proponował, by niektóre więzy zakorzenienia były ostatnimi, jakie buntująca się jednostka potarga. Nie wystarczy więc po prostu powiedzieć, że ruchliwość jest ważniejsza, ale nie wiemy, dlaczego prawie wszyscy ludzie prawie zawsze i prawie wszędzie chcą się uważać za zakorzenionych i tutejszych, dlaczego ta ułuda korzeni jest tak silna, atrakcyjna oraz trwała.

Podsumowując, należy stwierdzić, że niedosyt pozostaje. Są też okoliczności łagodzące: dobrze, że myślimy o tworzeniu szerokich oraz w miarę abstrakcyjnych ram, w które można będzie włożyć nader różnorodne projekty badawcze. Niedobrze, że włączamy nieco przypadkowo — na przykład esej o Portugalczykach w Goa jest interesujący, ale byłby jeszcze ciekawszy, gdyby dotyczył nieudanego programu portugalskich jezuitów,

dzięki któremu zesłali między konfucjańskie oraz hinduistyczne masy i zaczęli masowo nawracać Hindusów oraz Chińczyków na chrześcijaństwo w wersji katolickiej. W pewnym momencie papieństwo doszło do wniosku, że za daleko się posunęli w trakcie *going native* i całą imprezę wstrzymało. Współpraca oraz rywalizacja między misjonarzami a handlarzami jest też fascynująca, zwłaszcza ideologiczne problemy misjonarzy, ale ramy bardziej obiecującego badania wyznacza niepowodzenie jezuickiej misji, a nie rekonstrukcja prób zapanowania nad rządami kolonizatorów, podjęta przez uzdolnionego literacko biskupa. Nie bądźmy jednak drobiazgowi. Czyta się dobrze, niemiecki instytut badań zaawansowanych w Berlinie nabiera humanistycznej zacności, błogosławieństwo biskupa nauki współczesnej z harwardzkiej parafii też jest nie do pogardzenia. Humanistyka otrząsa się z osłupienia, w które wpędziły ją najpierw tryumfy fizyki, a potem biochemii. Niech się otrząsa.

Sławomir Magala

O relacjach transnarodowych i transdyscyplinarnych w badaniu pamięci zbiorowej

Tom zatytułowany *Refleksje metodologiczne*¹ to czwarta część prowadzonego przez Centrum Badań Historycznych Polskiej Akademii Nauk w Berlinie, a kierowanego przez Roberta Trabę i Hansa Henninga Hahna, we współpracy z Maciejem Górnym i Kornelią Kończal projektu „Polsko-niemieckie miejsca pamięci”². W odróżnieniu od pozostałych, opisujących i analizujących polsko-niemieckie miejsca pamięci, czwarta część ma charakter metabadawczy. Odnosi się ona do poprzedzających ją tomów, lecz, jak stwierdzają redaktorzy, mamy tu do czynienia raczej z „komentarzem” niż „kontynuacją” (s. 9)³. Pozycję tę można więc częściowo traktować jako autonomiczny zbiór tekstów z zakresu metodologii badań pamięci zbiorowej skupionych na relacjach transgranicznych i transdyscyplinarnych. Czwarty tom projektu dostarcza w tym zakresie porządnego materiału.

Nieco nienaturalną okolicznością jest to, że czwarty tom ukazał się jako drugi w kolejności chronologicznej⁴, co uniemożliwia jego ocenę w perspektywie całości. Poważnym mankamentem jest tu przeciągający się proces wydawniczy całej serii, który przekroczył już jakiś czas temu zaplanowane terminy⁵. Może to być — po pierwsze — irytujące dla oczekujących jej odbiorców, a po drugie — i ważniejsze — może mieć wpływ na malejącą aktualność zawartych w kolejnych tomach treści, gdy odnieść je do wciąż dość dynamicznie rozwijającego się dyskursu. Mimo że zawarte w czwartym tomie reflek-

¹ *Polsko-niemieckie miejsca pamięci*, t. 4, *Refleksje metodologiczne*, red. R. Traba, H.H. Hahn, współpraca M. Górny, K. Kończal, Warszawa 2013.

² Więcej na temat całego projektu na stronie: <http://www.cbh.pan.pl> [dostęp 1.01.2014].

³ Numery stron w nawiasach odwołują się za każdym razem do recenzowanego tomu.

⁴ Pierwszym wydanym był tom trzeci: *Polsko-niemieckie miejsca pamięci*, t. 3, *Paralele*, red. R. Traba, H.H. Hahn, M. Górny, K. Kończal, Warszawa 2012.

⁵ Zob. <http://www.cbh.pan.pl> [dostęp 1.01.2014].